



Pomniki przyrody żywej.

Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!.. Których cień spadał niegdyś na koronne głowy Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy... Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy, Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy, Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.

Temi słowy wyraził Mickiewicz uczucia, jakie wzbudzały w nim stare drzewa dawnych lasów, dochowane szczątki puszczy odwiecznych, rówieśniki i nieme, a jednak wymowne świadki bezpowrotnie minionej przeszłości.

Takież samo uczucie ogarnia i dziś każdego, kto ujrzy pradiadowskie pamiątkowe drzewo, kto wejdzie w głąb starego lasu, co już na setki lat liczy swoje istnienie. Ile to wspomnień staje wówczas przed oczami, jakie sceny wywołuje wyobraźnia z mgły przeszłości, jaka nić się nawiązuje między tem, co jest, a co był! A jak znikomemi wydają się sprawa

wy ludzkie, drobne troski i kłopoty życia codziennego, zestawione ze spokojem i trwałością tych długowiecznych olbrzymów leśnych, z całym życiem prastarego lasu, którego początek sięga czasów przeddziejowych, który przetrwał tyle pokoleń ludzkich, był świadkiem tylu zmian w kraju... i w samym sobie zarazem.

Kurczył się on i malał, „pożerany kupaieką lub rządową... siekierą“, zmieniał się z każdym wiekiem, ba! nawet z każdym rokiem, aż wreszcie pozostały po nim tylko szczątki, które



SUMAK albo SUHAK (ANTILOPE SAIGA).

zobaczyć można jeszcze tylko tu i owdzie w kraju, jakby po to, by nabrać jakiego takiego pojęcia o dawnym jego wyglądzie.

I nietylko przemijały ludzkie pokolenia, nietylko w biegu dziejowym znikwały całe narody, jak Jadźwingowie lub Prusowie, którzy przez gąszcze dawnych lasów kierowali napa- dy na Polskę; znikwały też dawne rośliny i dawne zwierzęta. Że drzewo olbrzymie i sta- re, chociażby nawet zdołało przeżyć tysiąc albo i dwa tysiące lat, musi wreszcie zginąć, nie dziwi to nikogo, boć

*Wszystko żywe musi ledez
Pod ręką, która znaczy kres.*

Dotyczy to jednak także i całych gatun- ków: napróznobyśmy szukali dzisiaj niejednej rośliny, która dawniej była bardzo pospolita wszędzie, niema jej już bowiem obecnie wca- le, albo przynajmniej stała się bardzo rzadka, znajduje się w stanie zanikania, wymierania.

Nie wdając się w przykłady różnych dro- bniejszych roślin, rozmaitych ziół rzadkich, wspomnimy tu jedynie o drzewach, jako do- starczających bardziej jaskrawych przykładów. Posiadaliśmy kiedyś ogromne i prześlizne lasy modrzewiowe, a modrzew, jako materiał nadzwyczaj trwały, był pospolitym budul- cem, zwłaszcza na kościoły i dwory szlache- ckie. Stare kościoły modrzewiowe można jeszcze zobaczyć tu i owdzie, ale lasów mo- drzewiowych niema dziś prawie nigdzie i wo- góle w lasach drzewo to stało się oddawna bardzo rzadkiem.

Jeszcze rzadszy jest cis, który również tworzył niegdyś zwarte lasy, jako niezbyt wy- sokie, ale piękne drzewo. A dziś trzeba się dobrze naszukać, zanim uda się go znaleźć i niema on już przeważnie postaci drzewa, lecz dużego krzaka, będącego zaledwie marnym cieniem dawnych okazałych cisów.

Nie lepiej, a może jeszcze gorzej dzieje się ze zwierzętami. Tu znajdziemy znacznie więcej nadzwyczaj jaskrawych i powszechnie znanych przykładów: od 300 lat znikły z na- szych lasów bez śladu tury, a żubry trzymają się w nielicznych szczątkach, jedynie dzięki ochronie prawnej; niema dziś nigdzie soboli, choć mówi o nich powszechnie znana piosnka

myśliwska „Pojedziemy na łów“ i choć we- dług Kluka jeszcze w XVIII w. miały one znajdować się na Litwie; niema również ani śladu po jedynej europejskiej antylopie ste- powej—suhaku czyli sumaku (Antilope saiga), która jeszcze przed 200 laty znajdowała się na stepach Ukrainy i której wzmiankę po- święcił Słowacki w poemacie „Żmija“, opisu- jąc łowy kozackie w stepach.

*I oto śmiga
Sumak zbudzony;
Ledwo kopytem
Dotyka trawy,
Charty wyściga,
I przez zagony,
Przed szybką smyczą,
Sadzi przez doły:
Gończe skowyczą,
Kraczą sokoły.*

A czyż do zwierząt prawie zaginionych nie trzeba zaliczyć bobrów? Czyż kozice i świstaki nie istnieją dziś jedynie dzięki suro- wej ochronie i zakazowi polowań?

A poza tem, ileż to zwierząt utrzymuje się u nas jedynie w bardzo skąpej liczbie i w niektórych tylko okolicach, gdy niegdyś spotkać je można było w każdym lesie: nie- dźwiedzie, wilki, gronostaje, rysie, żbiki, ło- sie, jelenie, głuszce, orły, sokoły—to żyjący jeszcze świadkowie naszej fauny z przed niez- byt dawnych czasów, ale świadkowie na wy- marciu, nie znajdujący dziś dla siebie odpow- iednich warunków istnienia i dla tego utrzy- mujący się jedynie w niektórych zakątkach kraju.

Wiele przyczyn składało się na to wymie- ranie rozmaitych roślin i zwierząt: wszystko, co żyje, ma swój kres; śmierć jest losem za- równo oddzielnych zwierząt i roślin, jak i ca- łych gatunków, giną więc one bezustannie wśród ciągłej walki o byt, jaka panuje mię- dzy wszystkimi ożywionymi tworami, ustę- pując miejsca jedne drugim. Naturalny to bieg rzeczy, zwykły objaw gospodarki przy- rody.

Tylko, że w danych wypadkach zwierzęta i rośliny nie uległy we wzajemnej walce z wła- snymi współbraćmi, ale w wojnie, jaką im wy- powiedział człowiek. Bez wmięszania się czło- wieka walka ta przybrałaby inny charakter,

przebieg jej poszedłby w innym kierunku i inny nadałby wygląd całemu krajowi.

Ta walka z człowiekiem stanowi naturalnie tylko szczególny wypadek ogólnej walki o byt, będącej podstawą gospodarki przyrody. Ważnem jest jednak zdanie sobie wyraźnie sprawy z tego: skoro bowiem człowiek jest głównym sprawcą wymierania rozmaitych gatunków roślin i zwierząt, człowiek też przez zmianę w sposobie swej działalności może to znikanie znacznie zmniejszyć, a nawet powstrzymać je zupełnie.

Niszczycielska ta działalność człowieka objawiła się i objawia się ciągle w sposób rozmaity.

Na pierwszym miejscu należy postawić trzebieenie lasów i obracanie coraz to większych obszarów pod pola. Niegdyś cały nasz kraj przedstawiał jedną odwieczną puszcze: człowiek wrąbywał się w nią, wycinał drzewa i karczował ziemię, oczyszczając sobie miejsce najpierw na samo mieszkanie a potem i pod rolę. W miarę zwiększania się ludności, padały pod siekierą coraz to nowe drzewa, obnażały się coraz to nowe części puszczy, aż wreszcie znikła ona zupełnie, pozostawiając po sobie jedynie mniejsze lub większe lasy, jako szczątki dawnej szaty drzewnej kraju.

Trzebieenie to, robione bez oglądania się w przyszłość, stało się przyczyną zniknięcia nie tylko starych olbrzymich drzew, ale wogóle zmniejszenia się ich liczby, zanikania gatunków, które do swego istnienia potrzebowały większych obszarów, albo też wzrastały zbyt powolnie, powolniej, niż je wyniszczano. Nie mogły one wskutek tego zapęścić szeregów, jakie robiła siekiera w ich szeregach, zniknęły więc z powierzchni kraju, z jednych jego okolic zupełnie, z innych częściowo i ostatecznie stały się do pewnego stopnia rodzajem białych kruków.

Trzebieenie lasów pociągnęło za sobą pośrednio taki sam skutek i dla zwierząt. Zmniejszyła się bowiem liczba kryjówek, niedostępnych gąszczów, miejsc na gniazda; ubyło pożywienia dla gatunków roślinożernych, a gdy wskutek tego zmniejszyła się ich liczba, i mięsożerne znalazły się również w gorszym położeniu. Zniknęły więc przedewszystkiem zwierzęta większe, jak tury, żubry, niedźwiedzie,

którym zmniejszone lasy nie mogły już dać dostatecznych warunków do życia, ale znikł też doszczętnie lub prawie doszczętnie i niejeden mniejszy gatunek.

Dobre pojęcie o zmianach w faunie, jakie wywołuje wytrzebieenie lasów, może dać następujący przykład, zaczerpnięty wprawdzie nie z naszego kraju, tem niemniej jednak bardzo pouczający, zmiany te bowiem i u nas odbywają się w podobny sposób.

Mianowicie prof. Karol Sajó podaje, iż w zamieszkałej przez niego miejscowości na Węgrzech, wskutek wycięcia dębowych lasów z jednej strony a przeorania obszernych pąstew z drugiej, w ciągu ostatnich lat 30 znikło bez śladu przeszło 200 gatunków owadów, a koło 300, dawniej bardzo pospolitych, dziś należy do niezmiernie rzadkich. Przykład wielce pouczający, szczególnie, iż dotyczy zwierząt drobnych, których brak lub obecność zazwyczaj nie rzuca się tak bardzo w oczy.

Podobny wpływ wywiera osuszanie błot i bagien, wogóle drenowanie jakiejś okolicy. Znikają z niej wówczas wszystkie błotne rośliny, jak również i zwierzęta, których istnienie związane jest z wodą i większą obfitością wilgoci. Zmienia się wskutek tego charakter całej okolicy, jej szata roślinna, — i to rzuca się odrazu w oczy; zniknięcia jednak poszczególnych gatunków, zwłaszcza drobniejszych, nikt częstokroć nie zdoła nawet zauważyć.

Wogóle postępy cywilizacji, wznoszenie się jakiegoś kraju na wyższy poziom kultury, podniesienie się techniki, powiększenie się przemysłu i handlu, ulepszenia w rolnictwie — wszystko to działa niszcząco na faunę i florę, wszystko to tępi dzikie gatunki roślin i zwierząt, wprowadzając na ich miejsce swoje i uprawne, albo nie wprowadzając żadnych zgoła.

Wszystkie te udoskonalenia związane są ściśle z postęпами nauk przyrodniczych, to też jakiś pesymista, widząc ten ujemny wpływ cywilizacji na naturę, wygłosił melancholijny paradoks, że „rozwój nauk przyrodniczych wpływa niszcząco na samą przyrodę, którą człowiek tępi tem lepiej, im poznaje ją dokładniej“.

Paradoks ten jednak, jak wszystkie zresztą paradoksy, wyświetla tylko jedną stronę kwestyi, drugiej zaś nie porusza wcale, i stąd jego fałszywość. Bo przedewszystkiem przyczy-



GŁOWA ŻUBRA.

Rys. z nat. M. Wisznicki.

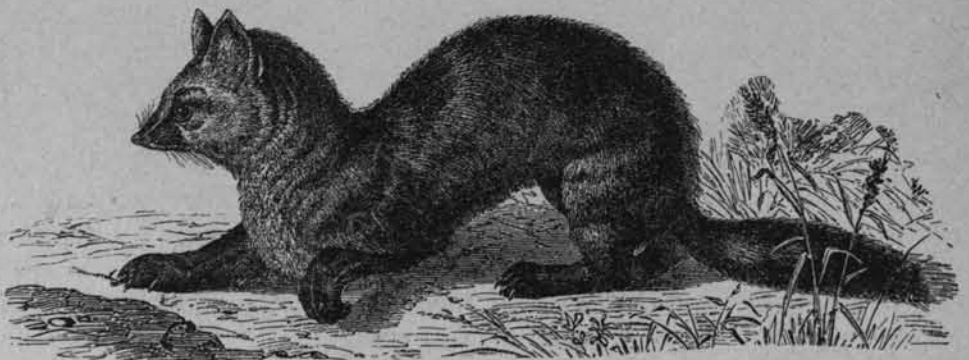
ną niszczenia zabytków przyrody w jakiejś miejscowości są nietylko same udoskonalenia techniczne, ile, z jednej strony, przeludnienie, konieczność pomieszczenia na tej samej przestrzeni większej liczby ludzi, którym zwierzęta i rośliny muszą ustąpić miejsca, z drugiej zaś—właśnie nieznanomość przyrody.

Rośliny bowiem i zwierzęta w walce z człowiekiem ginęłyby mniej licznie i w sposób nie tak barbarzyński, gdyby znajomość nauk przyrodniczych stała wyżej, gdyby ludzie znali przyrodę naprawdę, umieli patrzeć na nią, odczuwać ją, rozumieć i szanować. Nie rozwój więc i postęp nauk przyrodniczych, ale właśnie ich zastój i nieznanomość są przyczyną tępienia i niszczenia zabytków przyrody.

Karczowanie lasów, obracanie nieużytków na rolę nie niszczyłoby tak doszczętnie fauny i flory, gdyby ludzie robili to z rozwagą i zastanowieniem, gdyby niszczyli tylko to, co z konieczności muszą zniszczyć. Rąbanie lasów, tępienie szkodliwych zwierząt, zasiewanie nieużytków—wszystko to są rzeczy nieodzowne i ludzie ani nie mogą, ani nie mają powodu zaniechania tego wszystkiego; mają jednak obowiązek i powinni robić to w taki sposób, aby po barbarzyńsku i bezmyślnie nie niszczyć wszystkiego, co się nawinie, czy potrzeba, czy nie potrzeba. Bezmyślność nieraz zrządza tu stokroć więcej szkód, niż wszystkie razem postępy techniki i zwiększanie się zaludnienia.

Wystarczy wspomnieć chociażby polowanie: powstało za pierwotnych czasów, z koniecznej potrzeby zdobywania żywności i obrony przed dzikimi zwierzętami, przeszło następnie w rozrywkę, mającą jednak wielkie znaczenie, jako ćwiczenie siły i hartowanie, tak potrzebne w czasach ciągłych wojen, których widownią bywała Europa przez długie czasy. Przechowało się i do dzisiaj i choć już nie ma tego wojackiego znaczenia, choć zaspakaja nieraz jedynie atawistyczny popęd do mordowania, niezgodny już z duchem naszych czasów, —mogłoby jednak ostać się i teraz, jako bądź co bądź zdrowa i hartująca rozrywka, dająca przytem możność obcowania z przyrodą, ale pod tym koniecznym warunkiem, by myśliwi pamiętali zawsze i wszędzie o racjonalnem polowaniu, o trzymaniu się przynajmniej urzędowych przepisów, o zabijaniu z pewnym określonym celem, o zupełnem poszanowaniu gatunków rzadkich, ginących, o niestrzelaniu do każdego spotkanego stworzenia, do każdego ptaka, dostrzeżonego na gałęzi. O! tak sobie dla zabawki, dla wypróbowania oka, czy strzelby, dla wycwiczenia się w celności.

Ile to razy strzelają tak młodzi zwłaszcza myśliwi, którzy niedawno dopiero dostali strzelbę do ręki i których pali chętka używania jej jaknajczęściej: na zabitego dla wprawy pta-



SOBÓL (MUSTELA ZIBELLINA).

pp. Brehma.

ka ani nie spojrzą często i zostawiają go na ziemi w lesie, nie pomyślawszy nawet o osieroconem jego gnieździe z piskletami, o bezcelowo zniszczonem życiu, o krzywdzie, wyrażonej nietylko skrzydlatemu śpiewakowi, który padł ofiarą strzału, ale i całemu lasowi.

Klasycznego przykładu, jak szybko bezmyślne, rozbójnicze łowy mogą wytepić jakiś gatunek, dostarczyły amerykańskie bizona, które znikły tak prędko w ciągu ostatnich 30 lat ubiegłego stulecia, że z olbrzymich stad, liczonych jeszcze w r. 1870 na kilka milionów sztuk, już w 1901 r. pozostało zaledwie 1000 okazów. Tam powodem tej orgii łowieckiej była chęć jaknajszybszego wzbogacenia się, bez względu na to, iż w ten sposób bizona mogą wyginąć zupełnie.

Z takiego samego powodu zmniejszyły się ogromnie ilości wielorybów tak, że i o los tych olbrzymów świata zwierzęcego trzeba się już lękać, czy wkrótce nie znikną one zupełnie, jak przed stu przeszło laty głośna krowa morska (*Rhytina Stelleri*), ogromny (7 metrów długi) ssak z działu dwupłetwowców roślinożernych, albo jak ciekawa alka bezłotna (*Alca impennis*), której ostatni okaz zabito na brzegach Islandyi w r. 1844.

Smutna jest dola naszych ptaków śpiewających w czasie ich wędrówek na południe: u nas i w Europie środkowej wzięte pod mniej lub więcej surową ochronę prawa, nie są one narażone na zbyteńne tępienie; stosunki jednak zmieniają się zupełnie, gdy dostaną się do Europy południowej. We Włoszech ptaki śpiewające nietylko nie zostają pod opieką prawa, ale przeciwnie prawo po-



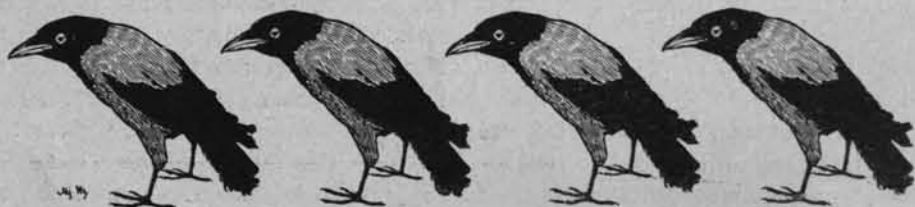
LAS MODRZEWIOWY
POD STARĄ SŁUPIĄ.

Fot. ze zbiorów Polsk. Tow. Krajozn.

zwala najlegalniej (a przynajmniej pozwalało jeszcze parę lat temu) na najbardziej masowe ich mordowanie. Polowanie ze strzelbą na słowiki, skowronki i inne ptaki śpiewające jest tam tak samo ulegalizowane, jak u nas na przepiórki lub kuropatwy, a łapanie ich całymi gromadami w sieci lub na lep zjawiskiem powszedniem. Brak innej zwierzyny, niegdyś tak obfitej, gdy było więcej lasów, Włosi wynagradzają sobie polowaniem na ptaki śpiewające.

(d. n.)

B. Dyakowski. 17



Lud polski na Górnych Węgrzech.

(Dokończenie).

Widać z powyższego, iż stosunki gwarowe w Ziemińskim są bardzo poplątane. Obce wpływy zepsuły pierwotną gwarę ludu. Jeżeli zaś dr. Czambel mówi, że zmiana miękkiego *d i t* na *dz i c* stanowi główną cechę wschodniej słowaczyny, przyznaje jej tem pośrednio znamię polskiej, zaznaczone w niej jeszcze dobitniej akcentem polskim.

W żupaństwie ungiem panują jeszcze może bardziej zagniatwane stosunki gwarowe, prawie całkiem dotychczas nie wyjaśnione. Wiemy wogóle, iż tu znajduje się również ludność polska, lecz brak o niej wszelkich szczegółów.

Co do gwar ruskich na tak zwanem uziemiu wschodnio-słowackiem, zachodzi pomiędzy niemi, a ruskim językiem piśmiennym („ukraińskim“) mniej więcej taka różnica, jaka dawniej zachodziła między czuszczyną, rozwielnioną w kościele, szkole i piśmiennictwie słowackiem, a słowackimi gwarami ludowemi. Hnatiuk w pracy: „Rusyny w praszewskiej eparchii“ donosi, iż niektórzy inteligentni Rusini tego uziemia zwrócili się do niego z zapytaniem, czy nie byłoby właściwiej pisać dla ludności ruskiej, pochodzącej z Ziemińskiego i Ungskiego w jej narzeczu. W Detroit w Ameryce wychodzi już nawet tygodnik, tłoczony w ruskim narzeczu ziemlińsko-ungskim.

Ten sam stosunek zachodzi co do Łemków Galicyjskich, kwalifikowanych na podstawie obrządku, jako Rusinów, których przy naszej bierności narodowej mało znamy, chociaż zaludniają oni polską, zachodnią część Galicyi. Dr. Gumpłowicz pisze o Łemkach: „Łemkowie galicyjscy odróżniają się od Rusinów akcentem polskim i wieloma rzekomymi polonizmami... Zważywszy, że okolice, które zamieszkują teraz Łemkowie, nigdy nie należały do żadnego księstwa ruskiego, że to w XIII już wieku były polskie osady i że tu właśnie znajduje się teraz jakie 80 wołoskich (wałaskich) osad, których osadnicy według świadectw dokumentarnych w XIII i XIV w. przywędrowali tutaj z Węgier, przypuścić można, że wszyscy Łemkowie pochodzą od grecko-katolickich Słowaków wschodnich i od słowacko-wołoskich górali, wypartych z Węgier. Wszak niektórzy etnografowie, jak Hodża, zaliczają narzecze wschodnio-słowackie z powodu przeważającego w niem akcentu polskiego i licznych polonizmów do polsko-słowackich“.

Wywód dr. Gumpłowicza, należy sprostować w pewnym kierunku, mianowicie co do pochodzenia Łemków od „grecko-katolickich Słowaków“

i „słowacko-wołoskich górali“, gdyż ani jedni, ani drudzy nigdy nie istnieli. Na węgierskiem uziemiu, tak zwanem „wschodnio-słowackiem“ istniała bezsprzecznie wprawdzie ludność polska a „wałaszczyna“—nie „wołoszczyna“ jest wspólna wszystkim góralom polskim po Beskidach, Tatrach i Karpatach, na Śląsku, w Galicyi i na Górnych Węgrzech, obcą zaś słowaczyna. Obrządek zaś ze względu, iż grecki katolicyzm na Górnych Węgrzech jest zabytkiem cyrylo-metodyzmu, niczego tu dowodzić nie może.

Anonim J. Z. pisze o Łemkach: Łemkowie mówią narzeczem ruskim zepsutem, w którym są ślady obcego wpływu, zwłaszcza słowackiego. Akcent ich od akcentu wszystkich innych nareczy słowackich zupełnie jest różny. Ponieważ jednak akcent nawet po wynarodowieniu trwa jeszcze przez kilka generacyi i uparczywie się utrzymuje, choć język pierwotny dawno jest zapomnianym, zatem akcent Łemków potwierdza pochodzenie ich od polskich Słowaków, między którymi akcent ten (polski) dawniej był rozpowszechniony.

Dr. Czambel stwierdza w pośrednim związku z tem,—zbijając twierdzenie dr. Pastrnaka i Mirzki, etnografa słowackiego, jakoby polszczyzna w gwarach wschodnio-słowackich i zachodnio-ruskich była wynikiem wpływu polskiego—powyższe moje zapatrywanie pisząc: „W r. 1412 dał król Zygmunt 13 miast spiskich Polakom w zastaw, które w r. 1772 połączono z koroną węgierską; do tego przybyły jeszcze 3 miasta, tak że ich było 16. W tych ostatnich trzech miastach (Podoliniec, Gniazdo, Stara Lubowla) istnieli księża polscy jeszcze w zeszłym wieku (XIX)... Podczas polskiego panowania, więc przez lat 360, był tu wpływ polski, rozumie się, rozstrzygający, mimo to nie pozostawił po sobie śladów. Zatem Pastrnak odwołuje się nadaremnie na przykład dziejów Spiża. Z nich wiemy, że dolina Popradu była pierwotnie zaludniona przez Polaków, w XII w. jeszcze tworzyła rzeka Hernad granicę między Polską, a Węgrami... Dolina Popradu była cała polską i jest nią dotychczas, lecz obecnie się słowaczy. Ona wpływać nie mogła na Słowaczynę, gdyż z nią się nigdzie bezpośrednio nie styka. Wschodnio-słowackie narzecze na Spiżu zaczyna się tylko od doliny Popradu, a idzie doliną Hernadu, lecz samo miasto Poprad, podobnie jak pobliska Sobota (Sopofa) i Stróża, słowaczej dopiero w nowszych czasach; przedtem tworzyły wraz z niektórymi innemi, także niemieckimi osadami, klin pomiędzy wschodnio-słowackimi na-

rzeczami, a polszczyzną doliny Popradu. Należy rozstrzygnąć pytanie, czy mogło 13 miast spiskich, zastawionych Polsce, wyrzucić wpływ na przetworzenie się wschodniej słowaczyny... Wszystkie te miasta były niemieckie, a choć teraz słowaczeją szybkim krokiem, zachowały przecież dotychczas swe znamię niemieckie, mimo, że 360 lat pozostawały pod rządami polskimi. Proszę zatem rzecz rozważyć. Przez 360 lat znajdowało się 13 miast spiskich pod rządem polskim, pod politycznym, kościelnym i społecznym wpływem polskim, a nie było w nich żadnego znaku wpływu polskiego. Jakże być może, żeby Polacy w tych czasach mogli przemieniać mowę wschodnich Słowaków, na których nie mieli żadnego wpływu, ani politycznego, ani kościelnego, ani społecznego? Polskimi osadami zostały te osady, które już były przedtem polskie⁴. Zatem w logicznym następstwie tego wyводу trzeba też przyjąć, że polszczyzna wschodnio-słowackich i zachodnio-ruskich narzeczy na Górnych Węgrzech nie jest naleciałością, lecz jest pierwotną i jest zabytkiem gwary pierwotnej tych ziem.

Zróbmy teraz bilans polszczyzny na Górnych Węgrzech, o ile to jest możliwe. Dokładnie wymieniść wszystkie polskie osady i podać ścisłą liczbę ludności polskiej niepodobna jest rzecz dla braku materyału. Stwierdzić tylko można, iż ludność polska pierwotna ciągnie południowymi stokami Beskidów, Tatr i Karpat nieprzerwanym pasem od Śląska aż do rzeki Topły i poza nią jeszcze, znajdując się w 10 żupaństwach górno-i środkowo-węgierskich, mianowicie: w Trenczyńskim, na Orawie, na Spiżu, w Szaryskim, Abaujeckim, Giemerskim, Zwoleńskim, Leptowskim, Ziemińskim i Ungskim. Oceniam polską ludność tych ziem conajmniej na 300,000 dusz, chociaż wykazać się da, przy dzisiejszym stanie badań tylko 175,000 dusz ludności polskiej, osiadłej w 156 osadach, nie wliczając w to ludu polskiego w żupaństwie abaujeckim i ungskim, którego istnienie przyznają klasyczni świadkowie czescy i słowaccy, a co do którego brak wszelkich bliższych danych — jako też mieszkańców tych osad, które wprowadzie przez Czechów i Słowaków poczytywane są za słowackie i ruskie, chociaż gwara ich jest więcej polska, niż słowacka lub ruska.

Osady i lud polski rozdzielają się na poszczególne żupaństwa jak następuje: w Trenczyń-

skiem 40,000 w 15 osadach, na Orawie 48,000 w 38 osadach, na Spiżu 50,000 w 68 osadach, na Liptowie 14,000 w 10 osadach, w Giemerskim 6,000 w 3 osadach, w Szaryskim 10,000 w 12 osadach i w Ziemińskim 7,000 w 10 osadach, czyli razem 156 osad polskich z ludnością 175,000 dusz.

Uważam ludność polską na Górnych Węgrzech za szczątki pierwotnego zaludnienia tych ziem, topniejące w naszych oczach wśród monstualnych stosunków narodowościowych, w jakich żyć są zniewolone. Ciężkie krzywdy narodowe, wyrządzane ludowi polskiemu na Węgrzech, w kościele, szkole, gminie i w życiu publicznym obciążają sumienie całego narodu polskiego, zachowującego się wobec tego swego odłamu obojętnie i biernie. Zdaje mi się, że koło polskie w parlamencie austriackim, zajmując wpływowe stanowisko w monarchii habsburskiej, mogłoby wpłynąć na rząd węgierski, żeby uznał u siebie polską narodowość, jak to było z końcem XVIII w., gdy urzędowe spisy ludności odróżniały Polaków na Górnych Węgrzech od Słowaków i Rusinów. Jeszcze żywotniejszą i ważniejszą rzeczą byłaby zmiana stosunków kościelnych w tym kierunku, żeby słowackich księży zastąpili polscy księża. Rzym nie może nawet stać w interesie religijnym na stanowisku dzisiejszem, nie może popierać obcego języka, gdyby w kuryi papieskiej nasi dostojnicy duchowni należycie wyjaśnili, jak anormalne stosunki panują po parafiach na Górnych Węgrzech, przyczem śmiało mogliby powołać się na zasługi ks. Czechowicza i innych księży, którzy podczas kontrreformacji położyli niespożyte zasługi dla katolicyzmu na Orawie, nawracając niemal błyskawicznie urokiem polskiego słowa zlutrzoną tamtejszą ludność polską na katolicyzm; sprawa tem ważniejsza, iż urok polskiego słowa mógłby odwrotnie otworzyć serca ludu dla nauki odszczepieńczej, gdyby nim się posługiwać zaczęła. Sprawa ta zaczyna nawet nabierać pewnej aktualności. Podczas pobytu swego na Orawie słyzałem od pewnego proboszcza słowackiego, iż zeszłej jesieni jakiś ksiądz maryawicki objeżdżał Orawę i Spiż w celu poznania stosunków miejscowych.

Na społeczeństwo polskie znowu spada obowiązek troszczenia się oświatę narodową tego ludu. Mimo wszelkiej uciążliwej czujności rządu madziarskiego można przy szczerych chęciach zrobić w tym kierunku wiele.

Lecz chcieć trzeba szczerze. Czas ostateczny dla nas dla spełnienia obowiązku narodowego.

G. Smólski.

Romanów.



DOM W ROMANOWIE.

Fot. B. Kraszewski.

W ziemi siedleckiej, powiecie włodawskim, leży rodzinny majątek Kraszewskich—Romanów, pamiętny tem, że w nim spędził dziecinne swoje lata znakomity nasz powieściopisarz, Józef Ignacy Kraszewski. We „Wspomnieniach” jego znajdujemy taki ustęp, dotyczący tej siedziby:—„W pierwszych wrażeniach moich dziecinnych stoi szumiący prastarem jodłami swojemi Romanów, majątność dziada i babki, później rodziców moich. Wśród lasów nadbużańskich, na głębokiem zapadłem Podlasiu, między dawnymi dobrami Sapiehów i Radziwiłłów — leży ta majątność, niegdyś sapieżyńska, w której zamierzano fundować rezydencję pańską czego dowodem był wspinały i ogromny ogród z kilkusetletnimi świerkami i grabowemi alejami. Zaczęli Sapiehowie stawiać nawet coś na kształt pałacu ale skończyło się na lochach tylko i fundamentach, na których dziad mój, pan Błażej Malski dom wznosił mурowany”.

W „Wiosce” zaś swojej Kraszewski tak o Romanowie powiada:

... Gdym oczy otworzył,
Pomnę, las był dokoła, — szumiący mi jodły, —
O! jeszcze w sercu szumią — i starym ożył,
Gdyby mnie losy w kąć ów spokojny
[zawiodły.
Zielone były łąki, a oko ciekawe,
Biegąc wkoło, gdzieś w czarnych gubiło
[się lasach
I wracało na kwiaty i zieloną trawę. —
Wszystko mi jeszcze kwitlowitych szczęśliwych
[czasach.

Szczególną ozdobę Romanowa stanowi park w stylu włoskim, jeden z najpiękniejszych w Królestwie — z prastarymi świerkami. — „Za świerki z serca dziękuję — pisał Kraszewski do ojca po osiedleniu się we wsi Hubinie — „O, niechby się przyjęły! byłyby to wnuki starych świerków romanowskich; gdybyż choć jeden chciał mi tu rosnąć!” Niestety, ostatnia nawałnica w listopadzie roku zeszłego niepowetowane straty wyrządziła w parku romanowskim, wrywając i waląc na ziemię siedem olbrzymów, które wieki całe mężnie przetrwały.

Romanów pozostaje do dziś dnia w ręku rodziny Kraszewskich. Oprócz parku i pałacu zasługuje na uwagę piękna kaplica, gdzie wmurowane są tablice pamiątkowe członków rodziny.

Janina Gajewska



BRAMA WJAZDOWA W ROMANOWIE.

Fot. B. Kraszewski.

RZEMIOSKA ZDOBNICZE U LUDU.

Nie należałoby, jak się to nieraz czyni, biadać nad śmiercią lub przynajmniej umieraniem duszy zdobnictwa ludowego. Wszędzie bowiem, gdzie nie dosięga demoralizujący wpływ wielkich miast, które zazwyczaj w promieniu przeszło milowym paraliżują wszelkie samoistne przejawy wiejskiego życia,—wszędzie lud po zaspokojeniu pierwszych potrzeb bytu zaczyna starać się o możliwe upiększenie środowiska, w jakim żyje.

Ta pasja zdobienia każdego sprzętu domowego użytku, (o ile gotowego i szablonowego nie podsunie fabryka)—jest namiętnością ludzi zupełnie pierwotnych. Tak samo niegdyś, w zamierzczłych czasach, człowiek jaskiniowy najpierw nauczył się pokonywać zwierzęta, przyrodę i zaspakając głód. Następnie poznał samego siebie, oglądając lud swój, wyszły z jaskini na słońce. A zaraz potem pierwszym wyrazem jego nieświadomych jeszcze pragnień stał się nieudolny rysunek na kości nieistniejącego dziś zwierzęcia. Usiłuje on stwarzać piękno, rozporządzając tylko kością i kamieniem, tak jak dotąd dzicy mieszkańcy Australii i Afryki południowej wyrabiają naszyjniki i ozdoby z kłów zwierzęcych i gładzonych kamyków. Widnokrąg piękna rozszerza się w miarę opanowywania danego materiału, w miarę zdobywania materiałów nowych i narzędzi doskonalszych.

Lecz może najciekawszy właśnie jest ten najpierwszy przejaw duszy człowieka-dziecka,—pierwsze naiwne wyobrażenie świata zewnętrznego, jaki ołśnił jego oczy. To najdokładniejszy dokument owego upodobania do odtwarzania form widzianych i powtarzania ich potem w przeróżnych odmianach w celu upiększenia sobie życia. W tem przebudzeniu jest już zawiązek wszystkich późniejszych zdobyczy w dziedzinie piękna. Czy człowiek pierwotny wiedział o tem, że był artystą? Nie. Szedł za szlachetnym instynktem, nie próbując mu się opierać. Tak samo instynktem kieruje się lud.

Dziewczyna, malująca w kwiatki ścianę naokoło okien, spełnia naturalny obowiązek ozdobienia chaty. Używa farby zielonej, czerwonej i błękitnej, to jest barw, które luną uderzają jej oczy od słońca, drzew, kwiatów i nieba. W ten sposób, wychodzące z pod jej ręki motywy są dopełnieniem niejako dziewczyny i wsi, w której ona żyje. Nic więc dziwnego, że odczuwa się łączność owych „kwiatków krasnych i siwych“ z ziemią, z której one ciągną soki.

Upodobanie w zdobnictwie występuje oczywiście najsilniej w okolicach zamożniejszych, gdzie nie stoi na przeszkodzie troska o zaspokojenie najpierwszych potrzeb życia.

W dawnym księstwie Łowickim oraz w ziemi Krakowskiej upodobanie to przechodzi prawie w namiętność. Skrzynie malowane mienią się orgią barw. Szeregi poczerniałych obrazów ujęto w jaskrawe fryzy malowane lub wycinankowe. Belki ozdobione są ornamentami z zielonych wici. U pułapu zawieszono różnokolorowe „światy“. Chata kwitnie wewnątrz i zewnątrz.

W okolicach, tak odciętych od reszty kraju, jak Tatry i Podgórze, zamiłowanie do zdobnictwa pójść musi w innym kierunku. Wprawdzie warunki życia są tu ciężkie, jednak wyjątkowa piękność otoczenia sprzyja rozwojowi artystycznych upodobań. Lud tamtejszy,

zmuszony stwarzać piękno z surowego drzewa jedli, buku i świerku, opanowuje ten jedyny materiał, jakim rozporządza. W obciosywaniu konstrukcji budowli drewnianej dochodzi do wielkiej doskonałości i zdaje się nie istnieć żadna niemożliwość w stosunku jego rąbanicy, noża i dłuta—do kłody, świeżo z gór stoczonego, drzewa.

W zdobnictwie ludowym wszędzie zdobienie podkreśla konstrukcję. Tak było w każdej epoce szczerzej twórczości. Wiadomo, że attyka, naczółek świątyń greckich, zachowuje poniżej fryz, dzielony na pola odpowiednio zdobione, jako przypo-



MOTYW Z PARKU
W ROMANOWIE.

Pol. B. Kraszewski.

mnienie wystających bloków marmuru, na których się wspiera. Tak kasetony w sklepieniach są konsekwentnym następstwem miejsc, powstałych przez krzyżowanie się ciężkich belek, które podtrzymywały więzanie dachu bazylik wówczas, gdy nie umiano jeszcze maskować ich sklepienia.

Co było niegdyś niezbędne, co było wynikiem warunków, w jakich powstało—staje się później tylko wspomnieniem i jako takie, przechodzi do zdobnictwa. Tak przed wiekami, w borach ziemi łomżyńskiej chłop, zmuszony walczyć z mieszkańcami borów, łby zabitych zwierząt zawieszał na węglach domu. Tak samo dzisiaj, przez pamięć o dawnych zdobyczach, umieszcza na węglach chaty wystrugane z drzewa rosochy łosie, co stało się teraz typową ozdobą i zespoliło się niejako z konstrukcją budowli. Tak chłop krakowski znak krzyża lub litery trzech królów, mające go bronić od złego i od czarów, otacza ornamentami z różnobarwnych kropek i kwiatków, urozmaicając instynktownie, szarą plamę drzwi. Tak góral używa do zdobnictwa, przekazany mu od niepamiętnych czasów, święty znak swastiki. Znak ten, nim stał się odwiecznym symbolem nieśmiertelności, był przedtem symbolem żywiołu najniezbędniejszego—ognia, dobytego przez tarcie dwóch kawałków drzewa, których kształt jakoby dwie skrzyżowane części swastiki mają wyobrażać.

I tak znak, wyobrażający najpierwszą potrzebę człowieka pierwotnego, stał się następnie symbolem jego wiary, a potem—jego pięknem, jako góralski „krzyżyk niespodziany“, żłobiony chętnie na belkach, spinkach i łyżnikach.

Niepowetowaną krzywdę zdobnictwu ludowemu wyrządzają fabryki, których gotowe i tanie wyroby wypierają wszędzie przemysł domowy. Nie jest to wina ludu, który jednak dotąd dość wytrwale stoi przy swoich upodobaniach. Dowodem tego jest różnorodny przemysł niezależny, rozwijający się odpowiednio do istniejących warunków. Ciągnie on soki z tradycji miejscowych i miejscowej kultury, całkowicie poza niwelującym wpływem fabryk. Tu zaliczyć można tkactwo, garncarstwo, kowalstwo, rymarstwo, krawiectwo, złotnictwo, malarstwo, stolarstwo i budownictwo. Tkactwo domowe nie jest bynajmniej przemysłem zanikającym. Owszem, zdaje się w ostatnich czasach wkraczać w fazę rozwoju. Ludność ogromnej części kraju nie nosi innych ubrań, prócz płócien i wełniaków „swojej roboty“, przenosząc je słusznie nad tanią fabryczną tandetę. Przytem każda wieś niemal przestrzega pilnie pewnej kombinacji barw,

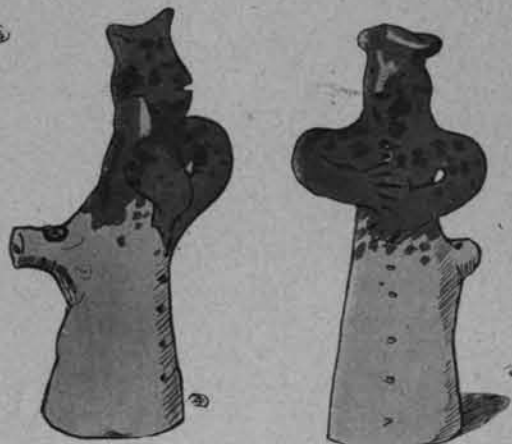
przekładając ją nad inne. Jako ciekawy objaw można uważać fakt, że w ziemi krakowskiej lud poddyktował fabrykom swoje upodobania. Tu więc wyjątkowo, wyrabiając wstążki, kwieciste chusty i materyały w wesołych i silnych barwach, fabryki nie przyczyniają się do zarzucenia stroju ludowego.

Garncarz wiejski również pozostaje wierny wyrobom, stanowiącym specjalność danej okolicy, przyczem jego własna indywidualność podporządkowuje się istniejącym warunkom. Na wyrobienie pewnego typu naczyń wpływa przeważnie rodzaj materyału, t. j. gatunek dobowanej gliny. W lubelskiem np. głównie słyną piękne polewy naczyń. Misy, dzbany i garnki zdobione są w ornamenty kremowem, zielonem i złotem szkliwem. Do niedawna istniały jeszcze specjalne naczynia o długiej zagiętej szyi do przechowywania w chłodzie wody w czasie żniw. Obecnie pozostały tylko krótkoszcyjne bańki z siwej gliny, odpowiadające litewskiem „hłekom“. Największą rzadkość stanowią naczynia, bańki i wazy „pisane“ (zdobione) jednobarwnie na glinie niepolewanej. Te spotyka się na Litwie, a zdumiewają uderzającym pokrewieństwem z urnami i łzawnicami, dobowanymi z odwiecznych żalników. Naczynia z surowej i niepolewanej gliny kremowej, dzbany oraz bańki bez uszu znajduje się w okolicach Kielc i na południe, ku ziemi krakowskiej. Tam również natopkać można oryginalne dzieła z czarnej gliny, o czterech uszach. Indywidualność artysty—garncarz wypowiedzi najlepiej w drobiazgach, lepionych ku zabawie dzieci. Ciekawe są nieraz wszelkiego rodzaju świstawki w kształcie kogutków, lalek, koników i baranków. Wogóle używalność garnków glinianych zmniejsza się z powodu zmian, zaprowadzonych w urządzeniu kuchni.

(d. n.) *Zofia Plewińska.*




„Kogutek“ z pod Kielc.



Świstawki z ziemi łomżyńskiej.

ZABAWKI GLINIANE.

Rys. Z. Plewińska.



Lazurowe wybrzeże.

2)

Domów drewnianych niema, bo łatwiej tu o kamień, niż o drzewo budulcowe. Często, łamiąc fundamenty, zdobywa się zarazem tyle trwałego budulcu, że z dodatkiem niewielkiej ilości cegły, jest z czego dom postawić. Cegły zaś używają dętej i głównie na obramowanie dziur oraz na górne piętra, gdzie są sypialnie. Wyborny klimat oraz słońce, a z niem ciepło, dobre powietrze, zwłaszcza gdy się mieszka nieco dalej od drogi i cokolwiek wyżej lub też nad samem morzem, przyciągnęłyby już same dużo gości. Ponieważ jednak samotnie żyć umieją tylko mędrzy, a przynajmniej filozofowie, tudzież zmęczeni życiem lub istotnie chorzy, a z nich ogół się nie składa, więc trzeba było zabawić tłumy, które tu ściągają. Dla nich to urząda się karnawałowe dziwowiska i walki kwiatowe i korsa, liczne koncerty i przedstawienia; oni też dostarczają tych złotych run, które są przeznaczone do podskubania lub całkowitego ostrzyżenia w Monte Carlo i w Nicei. Wybornie urządzone i utrzymane nadbrzeżne drogi (promenady, plaże i t. p.), w Cannes, Nicei, Mentonie, S. Remo i t. p. służą nietylko do wygodnej przechadzki, ale także, jako pole popisu dla wszelkich tualet, często dziwacznych lub wprost rażących bogactwem materyałów i drogich kamieni.

Na tych przechadzkach spotyka się wszystkich, którzy tu ściągają, głównie w miesiącach zimowych i wczesną wiosną. Bo dłużej, niż do maja siedzieć tu niemożna, a zresztą i w północnej ojczyźnie robi się wtedy ciepło. Podobno jednak lazurowe wybrzeże wtedy właśnie jest najpiękniejsze, wtedy roztacza w całej pełni swe blaski i wonie... Podziwiają je tylko miejscowi lub rzadcy goście. Obcy przybysze wraz z przelotnym ptactwem odlecieli na północ lub do pobliskiej Szwajcarii nad jeziora.

Na Riwierze napotykamy: na francuskiej, sporo Francuzów, na włoskiej—Włochów, z cudzoziemców zaś pewną ilość Anglików, trochę Rosyan, Polaków, Szwedów i Duńczyków, nieco Holendrów, ale przede wszystkim i nadewszystko Niemców. Ich język obija się ciągle o uszy, oni są panami w wielu hotelach (przeważnie w ręku Niemców będących), oni zapełniają krzesła w teatrach i na koncertach, oni też stanowią korpus główny armii graczów w Monte Carlo i na jetée promenade w Nicei. Niemcy z bogaceni, ordynarni, grubi od piwa i banknotów, zwłaszcza starsi i starsze. Młodzi jeszcze pracują i dorabiają się, starzy przyjechali tu używać i pokazać się. Ich to niezbyt

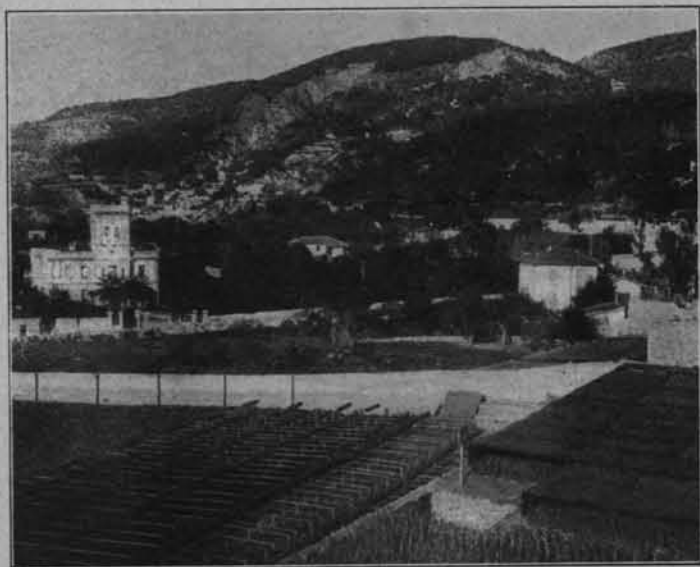
zgrabne kobiety najbardziej świecą niemożliwymi broszkami, naszyjnikami i butonami z brylantów; one to na pękatych figurach noszą białe kostiumy, drogiemi koronkami naszywane; oni na podobieństwo wrzaskliwych i natrętnych wróbli, przed którymi ustępują drobne wdzięczne gajówki śpiewne, wyparowali Anglików i wstręty czynią innym narodom.

Ta niemiecka ekspansja i ciągła zaborczość dużo czarnych myśli nasuwa nam zwłaszcza, którzy czujemy ją tak dotkliwie w Poznańskim, a obawiamy się w przyszłości i dla innych części nieszczęsnej naszej ojczyzny.

Czy życie na Riwierze jest drogie? To zależy od wielu względów. Naogół jest drogie i mieszkanie dość nawet skromne z pożywieniem kosztuje 12—20 fr. lub lirów dziennie. Ale w miejscowościach pięknych, lecz nie pierwszorzędnym, w pensjonatach, umieszczonych nie w samym środku zgiełkowego wybrzeża, można mieć takie same za 8, a nawet 6 fr. dziennie.

Jest tu obyczaj jadań 3 razy. Śniadanie (petit déjeuner), składa się z kawy lub czekolady, bułek i masła. Nasz właściwy obiad, zwykle o 12¹/₂ (grand déjeuner), tak jest obfity, że nawet wygłodniałym wystarcza, niema tylko o tej porze zupy. O 7-ej następuje obiad właściwy (diner), jeszcze obfitszy, ale znieść go mogą bezkarnie tylko ci, którzy potem jeszcze długo czuwają. Dlatego można śmiało układać się o pół pensyi, t. j. zadowalać się dwoma śniadaniem, a wieczorem pić kawę lub robić u siebie herbatę. Zresztą każdy, przyjechawszy tu na czas dłuższy, powinien zrazu zamieszkać w hotelu, a potem po paru dniach poszukiwać znaleźć pomieszczenie odpowiadające jego potrzebom i kieszeni. Zazwyczaj nieco dalej od ogniska ruchu i od stacyi, można wynaleźć doskonałe mieszkanie, z życiem dostatkiem za niezbyt wygórowaną cenę.

Obok słońca, morza i górzystego położenia, najważniejsze znaczenie dla pięknego wyglądu Riwierzy posiada roślinność. Od niepamiętnych czasów obok flory dzikiej, którą się tu i owdzie widzi, obok sosn górskich i wrzosów drzewiastych, o białych kwiatach, podszytych obrazkami (Arum), stanowiły gaje oliwne i winnice, a w górach słodkie kasztany. Powoli do tego przybyły pomarańcze. W okolicy Golfe Juan, a także i w wielu innych miejscach pełno tu pomarańczowych gajów, a właściwie ogrodów, w prawidłowe rzędy i dość gęsto nasadzonych. Pod nimi chyba tylko



HODOWLA GOŹDZIKÓW W SAINT-JEAN.

Fot. K. Kulwiec.

fiolki widzieć można; zresztą ziemia corocznie zasilana i czysto skopana bywa ciężkimi motykami o 2 hakach.

Gaje te mają wygląd niezwykle, zwłaszcza dla naszego oka, ale nieco sztywny i monotony. Z nich to liczne pomarańczowe kwiaty służą na perfumy, których tu, zwłaszcza w Grasse i w pobliżu, niezmiernie wiele się wyrabia.

Najszlachetniejsze odmiany pomarańcz na Riwierze nie udają się; wymagają one jeszcze łagodniejszego i wilgotniejszego klimatu. Zresztą nigdy tu drzewo pomarańczowe nie wyrasta tak wielkie, jak w Arabii, Syrii lub na wyspach Kanaryjskich, gdzie jeden okaz często do 10000 owoców rodzi. Na wybrzeżu uprawiają bardzo dużo mandarynek, wybornych, choć małych, które poznać łatwo po wąskich listkach—i pomarańcz gorzkich, na wódki i konfitury. Zdarzają się też i Cedraty, z których smażona cykata przywozi się i do nas. W cieplejszych, zacisznych miejscowościach, jak np. w pobliżu Mentony, w dolinach, na wzgórzach widzi się bardzo dużo ogrodów cytrynowych, a w nich drzewa zdrowe i piękne, „ze złotymi gałkami”. Cytryny tutejsze są zupełnie dobre, szafują też nimi obficie przy jedzeniu i picciu. Zarazem dają one świadectwo o łagodności klimatu, wiadomo bowiem, że cytryna nie udaje się tam, gdzie temperatura spada poniżej zera.

Drzew owocowych względnie bardzo tu mało, ziemia pod nie zbyt droga, ale zdarza się zobaczyć tu i owdzie kolosalną brzoskwinie o koronie kilkunastołokciowej, stanowiącą wielką osobliwość. Owoce jednak, oprócz jabłek, bywają tu doskonałe.

Ponieważ dotknęliśmy przemysłowego ogrodnictwa, nie możemy pominąć milczeniem, choć w kil-

ku wierszach sławy i bogactwa tutejszego. Są niem niewątpliwie kwiaty, od października do początku maja wysyłane na północ. W pozostałych miesiącach jest ich tu nie mniej, przeciwnie: z zachwytem opowiadają o ich mnogości i piękności, ci nieliczni z nas, którzy je w lecie widzieli; ale wtedy ciepło w krajach północnych darzy je też takim bogactwem kwiecia, że przywozić go z południa niema potrzeby.

Wiedząc, że piszę nie dla ogrodników, nie mogę nawet z grubego wchodzić w szczegóły. Oddaję tylko hołd przemyślności i pracowitości ogrodników miejscowych, a są ich dziesiątki tysięcy. Na tarasach pracowicie zrobionych i kamiennymi ścianami zabezpieczonych, wprost w

gruncie lub na złą porę ukryte za ruchomymi i przenośnymi oknami, rosną tu miliony róż i goździków przepysznych, niezliczone legiony lewkonii, miliardy fiołków, obok laków, rezedy i tyśiącznych kwiatów mniej ogółowi znanych, jak freesie, zawilce, jaskry azjatyckie, wspaniałe kole i niezliczone rośliny cebulkowe. Szczególnie hodowlę róż i goździków doprowadzono do niebywałej doskonałości, czemu sprzyja popyt na kwiaty i wysokie ceny, nawet na miejscu za najpiękniejsze z nich osiągane. Dostyc powiedzieć, że Carriat, słynny goździkarz z Antibes, za jeden, wprawdzie piękny, goździk dostaje w Nicei po 2 fr.! Ale są i kwiaty tańsze, których dostać można na targu w Nicei i w Ventimille, Ospedaletti i t. p.

Radzimy każdemu, kto na Riwierę pojedzie, taki targ rano zobaczyć. Wszystkie barwy, o jakich marzy fantazyja malarzów, wszystkie wonie Lewantu i dziewiczych lasów Ameryki połud. będą drażniły jego wzrok i powonienie. Z tego to targu w Nicei wysyła się owe pozdrowienia i przypomnienia kwiatowe, owe żywe wyrazy uczuć dla osób ukochanych, na daleką północ, w pudełkach tuż pod ręką będących i po cenie nader umiarkowanej. Tu się także zaopatrują w towar eksporterzy, którzy go wysyłają dalekim odbiorcom, ani podejrzewającym, że wysyłający sam nie wytwarza, tylko pośredniczy i na tem dobrze zarabia.

Hodowla kwiatów przynosi podobno rocznie na samem wybrzeżu lazuruwem francuskim 40 milionów franków, na włoskiem pewno mało co mniej. Hodowla ta ciągle powiększa się jeszcze. Czego sprzedać nie można, czy to w sezonie właściwym, czy tembardziej w lecie, to w fabrykach przerabia się na słynne francuskie perfumy, wody

różane i fiołkowe, esencje i t. p. Tej tabrykacyi nawet nie dotknę bliżej, jako też nie będę się wdawał w opisy hodowli, które mogą zająć specjalistów, ale dla przeciętnego czytelnika zapewne nie byłyby ciekawe.

Od lat kilkudziesięciu zaczęto jeździć na Riwierę, szukać na niej zdrowia, wypoczynku, zabawy wreszcie lub niezdrowych wzruszeń gry hazardowej. Odtąd też datuje się zajęcie nią botaników i ogrodników. Oni to przyodziali to cudne wybrzeże w jego niezwykłą odświeżoną szatę, oni przenieśli tu całe szeregi przedtem nieznanych roślin, nie tylko z drugiego, afrykańskiego brzegu m. Śródziemnego i z właściwego Wschodu. Poszli znacznie dalej: Brazylia i Meksyk, Antylle i Przylądek, Indye i Australia zniosły tu, co tylko ich flora ma najpiękniejszego, najbogatszego i dzieci ich lasów dziewiczych i preryi tu się zdomowiły, znalazłszy warunki, pierwotnej ich ojczyźnie odpowiadające. Więc przedewszystkiem można tutaj spotkać na każdym kroku prawdziwe akacje o szczeroczkach złoto-żółtych, wonnych kwiatów. Są to już wcale okazałe drzewa, a siostra ich, z samych czułych nerwów utkana *Mimosa wstydliva* (*pudica*), jako drzewo olejowe służy. Niektóre z tych akacyi zdziczały t. j. dobrowolnie same się rozsiewają, stanowiąc wśród sosnowych lasów niby chwast jaki, do naszych wierzb podobny, lecz różny kwiatem żółtym, nader silnej woni.

Drugim takim drzewem jest również australijski eukaliptus (*Eucalyptus globulus*, *amygdalinus*, *angustifolius* i in.). Są to ogromne drzewa, o niezbyt bogatym ulistnieniu, oczyszczające powietrze i osuszające grunt błotny, rosną bowiem prędzej jeszcze od wierzb naszych. Kora łuszczy się na nich sama, tak, jak na platanach, więc zdala widać wszędzie potężne kolumny, niby z białego krwawnika lub nieco zwietrzałego jasnego marmuru wykute. Pod nimi kupi się najczęściej mnóstwo roślin, półcienia szukających, a zwłaszcza palm młodych, które tu ogrodnicy chętnie przez lat kilka chowają. Lekki cień eukaliptów broni je od przypalenia, porannego chłodu i gradów. Bo powiedzmy właściwy wyraz, ludzie pod względem palm, dostali tu prawdziwego szalu.

Palma jest rośliną egzotyczną, typową. Nadaje ona krajobrazowi piętno kraju gorącego, a niezwykłym swym pokrojem wyróżnia się pośród całego roślinnego królestwa. Nie darmo też Linneusz, wielki określałacz roślin, nadał palmom nazwę



HODOWLA GOŹDZIKÓW W SAINT-JEAN.

Fot. K. Kulwiec.

„książąt“ (*principes*). Królewska ich korona buja zwykle wysoko ponad roślinnym narodem, a smukły i giętki trzon, wygina się od wiatru z powagą i majestatem, poruszając zlekka wspaniałą grzywą liści.

Od lat około 60 posadzono na Riwierze pierwsze daktylowce i nie o wiele później różne kokosy. One też stanowią tu najwyższe i zarazem najokazalsze palmy, bądź to pojedyncze, bądź w gromadkach stojące, bądź wreszcie tworzące piękne i oryginalne aleje. Tylko orzech kokosowy i niektóre palmy z wielowyspu na oceanie Spokojnym lub szczerze podzwrotnikowe nie udają się tu, zbyt mało jeszcze mając ciepła. Ale popróbowano z doskonałym skutkiem Washingtonii, Latonii, palmy Kopernika (*Copernicia cerifera*), a nawet Seaforcyi, i białolistnej *Brahea Roerli*, o karłatkach (*Chamaerops*), właściwych brzegom m. Śródziemnego nie mówiąc. Te inne palmy, później sadzone, są też mniejsze, ale zapowiadają się wspaniale na przyszłość. Nie jest to jeszcze ich klimat ojczysty, bo np. daktylowce nie dają tu nigdy owoców dojrzałych, choć pestki w nich dochodzą o tyle, że kielkować mogą, ale pomimo to, ogromna ilość palm darzy się na Riwierze i nadaje jej ogrodom wielki powab. Nadmiar jednak samych palm nuży oko, jak się o tem można przekonać w nowym ogrodzie publicznym w Spezzyi.

Więc też sięgnięto do flory zwrotnikowej i wydobyto z niej całe gromady roślin, które najczęściej hodujemy w pokoju lub nawet tylko w cieplarni. Grubolistne o dziwnych kształtach aloesy i kaktusy, a między nimi pokręcone, o płaskich, wylamanych członkach opuncje, krzewią się tu i kwitną na każdym kroku. Figi gumowe (*Fi-*

cus elastica), które mamy wszędzie w mieszkaniach p. n. „fikusów“, stanowią tu wielkie grube drzewa, prześliczne, o pełnej koronie z bogatych, lśniących liści i pniu, podpartym przy ziemi korzeniami przybyszowemi. Dęby nie tracące liści, drzewo świętojańskie, nader ozdobne (*Cerantia Siliqua*), liczne laury i rośliny o liściach trwa-

łych, gaje kamelii i różaneczników, zarośla z różnorodnych bambusów i smokowców. Tu i owdzie nawet banan sterczy w pobliżu południowego muru, okryty resztą podartych od wiatru liści. Niezadługo rozpuści w ciepłe nową ich koronę, delikatną, niemal przezrystą.

(d. c. n.)

E. Jankowski.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Zarząd P. T. Kr. po nowych wyborach, odbytych na zebraniu rocznym w d. 27 lutego ukonstytuował się na posiedzeniu z d. 12 marca w następujący sposób:

Prezes — Zygmunt Gloger.

Wice-prezesa: Aleksander Janowski i Kazimierz Kulwieć.

Sekretarz — Janina Rodysówna.

Skarbnik — Kazimierz Grabowski.

Gospodyni lokalu — Irena Kosmowska.

Bibliotekarz — Antoni Ojrzyński.

Kustosz — Maksymilian Heilpern.

Administrator wydawnictw — Mikołaj Wisznicki.

Członkowie: Stefan Dzięwulski, Kazimierz Rakowiecki i Kazimierz Stołyhwo.

Na wystawie miast-ogrodów i przyrodniczej, organizowanej przez Towarzystwa: Hygieniczne i Miłośników Przyrody—Polsk. Tow. Krajoznawcze zamierza wystawić: 1) szereg map, ilustrujący rozwój geologiczny ładu Polski. Opracowania map tych podjęli się: znany geolog p. Jan Lewiński i dr. Ludomir Sawicki, 2) żywe obrazy flory wodnej z okolic Warszawy i 3) własne wydawnictwa krajoznawcze.

Dnia 16 b. m. odbyło się miesięczne zebranie Towarzystwa w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Poza komunikatami Zarządu interesujący odczyt wygłosił p. Włodek „o Polakach w Ameryce Północnej“. Prelegent scharakteryzował warunki naszego wychodźstwa do Ameryki Północnej, horoskopy jego na przyszłość, warunki pracy oraz życia społecznego i narodowego naszych emigrantów. Odczyt ilustrowany był obrazami niknącymi.

W końcu p. Al. Janowski udzielił objaśnień do szeregu pięknych przezroczy, wykonanych przez firmę „Światłocień“ prof. Ostaszewskiego. Przezrocza ilustrowały piękne jezioro Chodeckie i siedzibę pp. Boryssowiczów—Helenówkę. Licznie zebrani słuchacze pierwszy raz mieli możliwość oglądania przezroczy „panoramicznych“ ukazujących barwne obrazy dużych przestrzeni wybrzeży Chodeckich.

Nowe książki.

Z. Bartkiewicz.—*Psie dusze*. Warszawa. 1910. Gebethner i Wolff. 16^o. 1.50.

W zbiorce szkiców nowelistycznych, odznaczających się, mówiąc nawiasem, przy dużym poczuciu komizmu, dziwnie smutnem i gorzkim ujęciem rzeczy, znajdują się też dwa fragmenty, dwa okrucy o charakterze krajoznawczym. Są to wrażenia z kilkugodzinnej wycieczki do Włodawy i także z lotu ptaka brane impresye z Sosnowicy, miejsca, gdzie się kochał Kościuszko. Pomimo braku faktycznego podkładu i śladów pewnego pośpiechu, nie tyle w pisaniu, ile w patrzaniu, dadzą się te osobiste nastroje i spostrzeżenia czytać przyjemnie i gładko, zwłaszcza, że pisane są nie bez dobrego, pisarskiego zacięcia. Dawniej u nas tych rzeczy z pogranicza literatury i krajoznawstwa swojskiego bywało znacznie więcej, a jeżeli w ostatnich czasach zanikły niemal doszczętnie, nie dowodzi to bynajmniej postępu.

T-t.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

Architekt. Zeszyt 2-gi 1910 r. St. Tomkowicz w artykule „Naprawa dzwonów pękniętych“ opisuje ciekawą naprawę kilku cennych dzwonów, dokonaną w roku ubiegłym w Krakowie przez francuza p. Chambon, wynalazcę nowej metody naprawiania dzwonów, polegającej na zalewaniu miejsc pękniętych roztopionym metalem, zamiast dotychczasowego przelewania dzwonów, które powodowało zagładę dawnych zabytków odlewnictwa. Fr. Krzywda Polkowi opisuje piękne i oryginalne „krzyże na Litwie“, które sam w wielkiej ilości w kowieńskim rysował.

W *Kronice* zastępuje na uwagę rysunek i opis przepięknego śpichlerza drewnianego z 1777 roku z podcieniami we wsi Cichowo w Poznańskim. Z 2 ch tablic: jedna kolorowa przedstawia rysunki ks. Polkowskiego—figury i krzyże na Litwie, druga—kąt bawialni p. Suskiego w Krakowie, pomysłu Ludwika Wojtyczko.

□□□□□□□□□□

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Otwarcie ruchu przewozowego na kolei Herbko-Kieleckiej nastąpić ma w listopadzie r. b. Roboty przy układaniu toru szybko postępują, obecnie budowane są mosty na Pilicy i Warcie, które niebawem zostaną ukończone. Na niektórych dystansach nowej linii już w ciągu bież. miesiąca ma się rozpocząć ruch pociągów roboczych, dla których wynajęto od kolei Nadwiślańskich dwa parowozy, za opłatą po 27 rb. dziennie za każdy parowóz.

+ Projekt kolei wązkotorowej od Skierniewic do Rawy uzyskał zatwierdzenie. Koncesję na budowę otrzymał właściciel ziemski p. Wacław Kamieniecki, bez prawa przymusowego wywłaszczenia gruntów prywatnych i bez zasiłku ze skarbu państwa. Kapitał budowy kolei ma wynosić najmniej 450,000 rb., długość zaś jej wyniesie około 29 wiorst. Po latach 85 kolejka przechodzi na własność skarbu.



+ W ostatnich czasach nabył Bank włościański na Żmudzi 6,700 dziesięcin ziemi z majątku Gruździe p. Naryszkina w pow. szawelskim, przeznaczając je z góry całkowicie na kolonizację rosyjską.

Z niewyprzedanej dotychczas ziemi w gub. wileńskiej Bank zamierza, według danych urzędowych, oddać sprowadzonym Rosyanom 5,434 dzies., a włościanom miejscowym pozostałe 2,024 dzies.



+ W sprawie wprowadzenia języka polskiego w szkołach ludowych na Bukowinie poseł Krzysztof Abrahamowicz w imieniu posłów polskich wniósł niedawno na posiedzenie sejmu bukowińskiego interpelację, której tekst powtarzamy poniżej, ponieważ daje ona pewne wyobrażenie o stanie i losach ludności polskiej w tej prowincji kresowej.

Wielokrotne przyrzeczenia rządu krajowego w sprawie nauczania języka polskiego, jako przedmiotu w tych szkołach, gdzie istnieje ustawowe warunki, czekają mimo licznych prób, kłaniań się i przypominań nadaremnie swego spełnienia. Od lat wielu wyczekuje ludność polska w Bojanach z cierpliwością, jak dotąd źle wynagrodzoną, zaprowadzenia nauki języka polskiego dla dziatwy szkolnej w liczbie 106. To samo dzieje się w Lenkowcach, Denesówce, Rarańcu w powiecie czerniowieckim, w których to szkołach liczba dziatwy polskiej przekracza od lat wielu cyfrę 40. Nadaremnie kołatają u wrót rady szkolnej kraj. polscy rodzice o naukę ojczyźstego języka w Żadowie (pow. Storożyniec), w Rusk. Baniłowie (pow. Waszkowce) i w Terebiesztach (pow. Seret). Litania tu przezemnie wyliczona nie kończy się. Daleko jaskrawsze lekceważenie ustaw zasadniczych państwa napotykaemy w przysiółkach o czysto polskiej ludności, jak np. w Now. Żadowie, oddalonem więcej niż 7 klm. od szkoły gminnej. Polska ludność Nowej Żadowy, wśród której znajduje się rok rocznie przeszło 70 dzieci szkolnych, na-

darownie wnosi petycje, prośby i podania o samoistną szkołę polską. Również głucha jest rada szkolna na podobne petycje przysiółka Rudy (pow. Radowce) o szkołę dla 60 dziatwy, a jeszcze jaskrawsze bezprawie popełnia się wobec przysiółka Bułaje (starożytna osada polska pod Suczawą), z których uczęszcza od lat wielu przeszło 80 dzieci polskich do bardzo oddalonej szkoły. Nie chcąc nużyć izby dłużej, urywam tu wyliczanie krzywdy naszej, od wielu wieków osiadłej na bukowińskiej ziemi i z ziemią tą przez krew przelaną i pot znojných czoł związanej ludności polskiej w dziedzinie szkolnictwa! Podpisani postowie zapytują: Czy p. prezydentowi kraju, jako przewodniczącemu rady szkolnej krajowej, znane są te bezprawia szkolne? Czy p. prezydent skłonny jest zarządzić zaprowadzenie jaknajśpieszniejsze nauki języka polskiego i utworzenie szkół polskich w tych miejscowościach, w których istnieją do tego warunki ustawowe*.



+ Urzędnik pruskiej komisji kolonizacyjnej, radca Both, wygłosił niedawno w Berlinie obszerny referat o celach i wynikach kolonizacji w Wielkim Księstwie Poznańskim i w Prusach Zachodnich. Referat ten jest oczywiście stronniczy, obliczony na to, aby przedstawić działalność komisji kolonizacyjnej w świetle jak najlepszem i wykazać bezpodstawność zarzutów, czynionych rządowi. Niemniej jednak fakty i szczegóły, zestawione i oświetlone tendencyjnie przez radcę Botha, są interesujące i zasługują na powtórzenie.

Dowiadujemy się z referatu, że komisja kolonizacyjna zakupiła w ciągu 24 lat, od r. 1886, w Poznańskim i Prusach Zachodnich ogółem 370 tysięcy hektarów, a z tego 110 tysięcy hektarów z rąk polskich. W Poznańskim nabytki komisji stanowią $8\frac{3}{4}$, a w Prusach Zachodnich $6\frac{1}{5}$ całego obszaru. W pojedynczych okręgach procent ten jest daleko większy. W obwodzie regencyjnym bydgoskim komisja posiada $12\frac{1}{2}$ procent wszystkiej ziemi, w powiecie gnieźnieńskim 37, a w wąbrzeskim 22 proc. całego obszaru.

Z ziemi nabytej komisja rozparcelowała dotąd 1,150,000 morgów magdeburskich i utworzyła około 600 gmin niemieckich. Liczba gospodarstw kolonizacyjnych dochodzi do 15,000; liczba ludności niemieckiej, osiedlonej na rozparcelowanych gruntach, wynosi 122,000 głów.

Komisja ściąga do dzielnic polskich przedewszystkiem Niemców z głębi Prus i Niemiec, a oddaje także ziemię Niemcom, powracającym z Rosyi, jakkolwiek jest to daleko gorszy materiał kolonizacyjny. Chłopów z Śląska, Poznańskiego, Prus zachodnich i wschodnich oraz z Pomorza wschodniego komisja nie dopuszcza, aby nie osłabiać w tych dzielnicach, zagrożonych przez polaków, żywiołu niemieckiego.

Komisja tworzy gospodarstwa, obejmujące przeciętnie 50—60 morgów. Unika tworzenia większych, ażeby koloniści nie byli zmuszeni do trzymania robotników, którymi w danych warunkach mogliby być tylko Polacy. Ażeby jednak zapobiedz opanowaniu sejmików powiatowych przez Polaków, wykrawa z rozparcelowanych dóbr także majątki 1000-morgowe i oddaje

